Nr. 6. Warszawa, dnia 26 Stycznia (7 Lutego) 1872 roku. ROK VIII.

Serya trzecia

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Chmielna (blizko Nowego-Światu), Nr. 3 (nowy).

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie — „ —
miesięcznie — „ 25

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

* * *

Wskutek próśb załączanych listownie redakcyi Opiekuna przez wielu z pp. prenumeratorów, aby powieść Bełcikowskiego, drukująca się w dodatku, p. t. „Dług honorowy" mogła być w częstszych dozach, niżli w dwutygodniowych, im podawaną, a to z powodu trzymanego zbyt długo w zawieszeniu interesu, jaki też powieść w nich budzi,—na skutek następnie reklamacyj, tychże samych i innych jeszcze czytelników naszego pisma, domagających się prędszego rozpoczęcia druku przyrzeczonéj im w końcu przeszłego roku, pracy Ignacego Pietraszewskiego, znakomitego orientalisty, p. t. „Dziesięcioletnia podróż po Wschodzie", nabytéj dla Opiekuna za pośrednictwem Kraszewskiego i przez Niego nam rekomendowanéj — zdecydowaliśmy się na pewne zmiany w fakturze pisma, które, nietylko że jednym i drugim reklamacyom czynią najzupełniéj zadość, ale nadto jeszcze, podnosząc, o ile sobie tuszymy, powagę i wartość Opiekuna, jako organu, li pożytecznéj literackiéj działalności poświęconego, i powiększając razem objętość tegoż,—zasłużyć chyba na approbacyą tylko, ze strony wszystkich czytelników, powinny.

Z tym 6-ym, mianowicie, numerem, redakcya decyduje się do objętości tegorocznéj Opiekuna, dodać jeszcze drugi półarkuszowy dodatek, rozdzielając go na numera, które bez tegoż dodatku co drugi tydzień pojawiać się miały,—czyli krótko mówiąc, powiększa cały *przeszłoroczny* rozmiar pisma *o połowę* jego objętości, tak, iż odtąd wszystkie numera, z dodatkami półarkuszowémi (w formacie i układzie także książkowym), wychodzić będą.

To czyniąc, nie czujemy się jednakże w możności robić zbyt znowu wielkich i przechodzących siły nasze, ofiar, tak z przekonań jako i z funduszów, i dlatego, uważając już z dawna za niewłaściwe, pomieszczanie *obowiązkowe*, w piśmie tak niewielkiém, jak Opiekun, i poświęconém przeważnie artykułom poważnym,—*obrazków*, które, o ile wszyscy wiémy, jeśli nie są zbyt wybredne i kosztowne (a takich od nas, przy obecnéj cenie prenumeracyjnéj, wymagać nikt nie może), nie ku pożytkowi lub kształceniu smaku, a ku pustéj tylko służą zabawie, i przez zajmowanie wiele miejsca w piśmie, szkodę tylko jeszcze treści jego czynią, — uważając to, powtarzamy, — postanowiliśmy jednocześnie z owém powiększeniem objętości i polepszeniem wartości wewnętrznéj Opiekuna, zsunąć w nim kwestyą owych właśnie *obrazków*, zupełnie na plan daleki, zastrzegając sobie u czytelników swoich swobodę, podawania im w takim tylko razie drzeworytów i w ogólności rycin, kiedy treść jakiegoś artykułu, dla zrozumienia go lepszego i uplastycznienia umysłowi, wyraźnie tego wymagać będzie.

Bieżący ten, 6-ty numer, robi właśnie i pod tym względem pierwszy krok na nowéj drodze.

Jeszcze słówko.

Ponieważ, mogąc rozpocząć dziś dopiero, z powodu opóźnionéj nam przesyłki, druk tyle ze wszech miar cennego i interesującego dzieła, jak owa właśnie „Dziesięcioletnia podróż po Wschodzie" musieliśmy miéć na względzie formę, w jakiéj *dodatek* do Opiekuna dołączany, w dwie jednocześnie książki ma się układać, która to forma właśnie nie dozwala nam podawać czytelnikom aż trzech prac odrazu, mianowicie: tejże „Podróży", powieści „Dług honorowy" i tragedyi "Margraf Gero" — przeto, zmuszeni wybrać na ten raz dla dodatku, tylko „Dług honorowy" i „Podróż" ową, przyrzekamy zaraz po ukończeniu pierwszéj z tych prac, mianowicie „Długu honorowego", które niedługo nastąpi, dać ciąg dalszy przerwanéj tragedyi konkursowéj Józefa z Mazowsza, która tym sposobem, jednocześnie z pracą Pietraszewskiego, podobnie jak teraz „Dług honorowy", układana daléj w książkę, - kresu swojego, bez żadnego szwanku dla czytelników, w tym roku jeszcze, dobieży.

Uprzedzamy, iż nie możemy tego samego przyrzec, rozpoczynając drukowanie „Podróży",—albowiem zbytnia objętość tego dzieła, o któréj jednakże teraz dopiero mogliśmy się przekonać, na takowe zakończenie go w tym roku jeszcze, w żaden sposób nie pozwala.

Wreszcie czynimy jeszcze uwagę, iż ponieważ było zawsze wolą autora, gdy żył jeszcze, aby styl pisania, którego używał, pomimo jego dużéj oryginalności, pozostawiać o ile można bez zmiany przy drukowaniu, — szanujemy zatém tę wolę jego, podając „Podróż" w układzie tylko i obrobieniu nieco inném, niż ją w rękopiśmie pośmiertnym znajdujemy, - a dopełnioném przez synowicę zmarłego uczonego, obecną wydawczynią Opiekuna, p. *Kazimierę Mosch*.

☞ Czyniąc zadość domaganiom się ciągłym o to, przesyłamy przy dzisiejszym numerze, jako też osobno pod markami *tytułową kartę* i *spis przedmiotów*, dla wszystkich *przeszłorocznych* prenumeratorów Opiekuna, z których każdy, tam gdzie abonował pismo w przeszłym roku, takowy dodatek otrzymać może. Przyczyną opóźnienia w tym względzie było nic innego, jak tylko, że redackya, objąwszy pod swój kierunek pismo od 1-go Lipca 1871 roku, czuła się w obowiązku przesłać *spis* wzmieniony po zupełném dopiero zakończeniu w druku wszystkich rozpoczętych przez siebie artykułów, a co dopiero 1-go Lipca 1872 roku, czyli po upływie całego roku, jak to ma zwykle miejsce, nastąpić mogło.

O TEMPERAMENTACH DZIECI.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IV.

Zakres wyobraźni.

Wyobraźnia — to słońce poezyi i sztuki, utwierdzone w konstellacyi innych gwiazd świetlanych i mniéj jasnych, na umysłowém niebie duszy ludzkiéj,—którego najbliższym trabantem jest rozum, a przedewszystkiém, tegoż najjaśniejsze gwiazdy, świadomość i pamięć — to słońce, mówię, ma także swoje plamy, które wychowawcom dostrzedz, a dostrzegłszy je i zbadawszy ich naturę, albo zatrzéć albo zasłonić należy.

Wielką jest doniosłość wyobraźni. Swoją twórczością oddaje znakomite przysługi nietylko w poezyi i w sztukach pięknych, ale także i w naukach ścisłych, mianowicie w matematyce, fizyce, nawet w rękodziełach wszelkiego rodzaju, — jednakowoż, jeżeli w pewnéj równowadze nie pójdzie z rozumem, i w karbach utrzymaną nie będzie, narazić może człowieka na obłęd, i zdolną jest omamić umysł, wystawić wszystko opacznie, roznamiętnić młodzież niedoświadczoną i przytępić nawet sumienie, przedstawiając występki i zbrodnie w postaci powabnéj i szlachetnéj. Większa część romansów, a głównie powieści o mniejszych lub większych rozbójnikach, taki sprawiają skutek. Z rozsądkiem tylko w parze, zatrzymuje wyobraźnia śnieżno-białą i niewinną szatę swoję.

Otóż i w tym zakresie imaginacyi, wytkniemy niektóre wybitniejsze jéj wady, na jakie wychowawcom i rodzicom baczne zwracać oko wypada, ażeby wychowanków swoich zasłonić od zguby.

Wadami wyobraźni są:

a) Zbytnia tkliwość,
b) Lekkomyślność,
c) Obłuda,
d) Fantastyczność.

Cnotą tego zakresu jest—*uprzejmość.*

a) Zbytnia tkliwość.

Wada ta, znana powszechnie pod nazwą sentymentalności, właściwą bywa wiekowi młodzieńczemu. Usposobienie do tkliwości objawia się w dwojakim charakterze: najsamprzód, jako nieumiarkowane zbytkowanie w uczuciu, powtóre, jako afektowanie, samo siebie łudzące.

Wady zbytniéj tkliwości można dostrzedz w każdym prawie temperamencie, jeżeli życie domowe pójdzie w kierunku wyobraźni i w tym kierunku bez przeszkody rozwijać się zacznie; szczególnie zaś w temperamencie melancholijnym.

Uczuciowość, czyli sentymentalność, powstaje i żywi się u chłopców tak samo jak u dziewcząt, przez niewłaściwe i nieumiarkowane czytanie książek treści fantastycznéj. Nadto obudza ją brak dostatecznego zatrudnienia i dozoru, a skutki uczuciowości w wielu względach mogą być nader szkodliwémi.

Marzycielstwo i rozkoszowanie się wdziękami sztuki i przyrody, albo zbytkowanie w ciemnych i nieokreślonych uczuciach, równie jak zapał do ideałów, same przez się nie mają nic zdrożnego, zwłaszcza, że podobne objawy uczucia tak dla swéj naiwności, jako też szczytności, we właściwéj epoce życia, jako potrzeby serca otwierającego się z miłością dla wszystkiego co wdzięczne, miłe i powabne,—muszą być uwzględnione. Jednakowoż są wypadki, i to zbyt częste, w których podobna wybujałość uczucia grozi niebezpieczeństwem.

I tak, weźmy np. zbytnie kołysanie się w sferze fantastyczności, pochodzące z czytania książek czarodziejskiéj treści. Czytelnik lub czytelniczka, przeniesione w świat ideału, uważać się w nim będą za oderwanych od rzeczywistego świata. Nadziemska kraina przedstawi im niezmierzoną przestrzeń, napełnioną niezliczoném mnóstwem usłużnych duchów, genijuszów i gnomów, gotowych na najmniejsze skinienie do posług wszelkich. Następstwem tego w rezultacie będzie, że dzieci, z wyobraźnią napełnioną marami i widziadłami, w rzeczywistym świecie niczém inném nie będą, jak skończonymi próżniakami, i prędzej czy późniéj doznają losu Don Kiszota, goniącego za widmem niedoścignionéj sławy, walczącego z wiatrakami.

Ślizka to i niebezpieczna droga dla młodych umysłów, ta jazda powietrzna, bez steru i celu. W takiéj bowiem nieustannéj wycieczce, popełnia się niedorzeczności wiele; nadto, rozwija się i utrwala niepohamowane ubieganie się za rozrywkami światowémi, które pociąga za sobą zniewieściałość i płytkość umysłu, a wtedy dalsze rozwinięcie życia duchowego natrafia na niezmierne przeszkody, do zwalczenia prawie niepodobne.

Przeciwko tym wadom nie można w żaden sposób występować szorstko i surowo, bo takie postępowanie obraża młody umysł, który zamknąwszy się w swoim ukochanym świecie, nie dałby już przystępu dalszym naszym wpływom; uważałby nas za nieprzyjaciół i prześladowców najdroższych swych skarbów. Ostrością więc postępowania możnaby to złe tylko bardziéj pogorszyć, zamiast je naprawić. Czuwać przeto przedewszystkiém należy nad doborem książek do czytania, i ostrożnie, mimo wiedzy dozorowanych, zapobiegać styczności tych marzycieli z *Donkiszotyzmem.* Nadto, starać się wypada o nastręczanie orzeźwiającej pracy, którąby młodą i rozprzężoną siłę ducha, pożytecznie zaprzątnęła i poważnie zajęła.

Ażeby zaś pięknego kwiatu młodéj wyobraźni nie podciąć, i usposobienia twórczego do ideałów nie stłumić lub zwichnąć, należy takiego płochego motylka przynęcać do innego źródła, z którego by czerpał trwalszą prawdę i trwalsze piękno, od swoich fantasmagorycznych widziadeł; trzeba go mianowicie zachęcać do historyi, do przedmiotów z dziedziny nauk i umiejętności realnych, w których mógłby upatrywać piękniejszą rzeczywistość i poznawać wzniosłość uporządkowanych wyobrażeń. Tam bowiem, gdzie tyle pięknych i szlachetnych rysów z tła wiedzy prawdziwéj, z dziedziny np. dziejów, tyle wzniosłych i wielkich postaci zajrzy w duszę młodocianą, tam już niema potrzeby obawiać się, ażeby w tak skierowane uczucie jaka pospolitość się wkradła.

Postępującemu już na téj drodze młodemu umysłowi, pewien nadmiar entuzyazmu nie zaszkodzi nawet, chociażby się niejednemu sensatowi ten rodzaj egzaltacyi wydawał dziwacznością; ostre bowiem kanty przesady otrą się i ogładzą same przez się w późniéjszéj powadze życia i jego rzeczywistości.

b) Lekkomyślność.

Ta wada objawia się najczęściéj w temperamencie sangwinicznym, który, z natury swéj, traktując wszystko powierzchownie i przelatując z szybkością z przedmiotu na przedmiot, nie poświęcając żadnemu głębszéj uwagi,—niezdolny jest do zatrzymania w sobie stałego wrażenia. Lekkomyślnemu, zbywa tylko na uwadze i rozwadze. Nie zastanawiając się bowiem ani nad tém co mówi, ani nad tém co robi, dogadza lekkomyślny tylko chwilowemu podrażnieniu bez względu na skutki swego postępowania.

Umysł lekki przeskakuje niepodobieństwa, a tém samém omija wszystko, co jest do zgłębienia mozolném.

Lekkomyślność prowadzi do rozwiązłości i bezbożności; bowiem przy takiém zgubném usposobieniu, żadna zasada, na któréj budują się stałe i gruntowne prawidła moralności, nie znajduje trwałéj podstawy. Takie charaktery tém są niebezpieczniejsze dla drugich, że z lekkomyślnością zwykle idzie w parze gładka, wesoła i miła powierzchowność ciała, zniewalająca i przyciągająca nawet takich ku sobie, którym płochość umysłu tych wietrzników dobrze jest znaną. Tak jest—to miłe łotrostwo, potrafi sobie zjednać przebaczenie u tych nawet osób, które ze swéj powagi powszechnie się sławią i zdrożne postępowanie gdzieindziéj surowo sądzić umieją.

Prawdziwa miłość, szczera i otwarta przychylność,—oto są potęgi mogące lekkomyślnego skłonić do gruntownéj myśli, do umiarkowania w swojém postępowaniu i do sumienności wobec osób, z którémi wchodzi w stosunki. Te uczuciowe dźwignie, przeciwko którym żaden opór się nie ostoi, obudzą w lekkomyślnym trzpiocie zaufanie do wychowawcy lub nauczyciela, zdolne będą podnieść umysł wiotkiego charakteru ku czemuś wyższemu, i rozbudzić zamiłowanie do trwałych rozkoszy duchowych, przeciwko którym powszednie i chwilowe rozrywki, tak miłe lekkomyślnemu sercu, porównania nie wytrzymają i upadną.

Jeżeli więc wychowawczéj miłości uda się, rozpustnego i lekkomyślnego zapamiętalca pociągnąć do tego co pożyteczne, wzniosłe, szlachetne, piękne i trwałe, natenczas wypadnie wychowawcy wywiązać się jeszcze i z drugiéj połowy tego zadania, a mianowicie: ażeby wrażenia te w sercu i umyśle wychowańca, na długo, na zawsze pozostały, a wola jego niezachwianie na téj drodze przewodniczyła wszelkim jego postępkom. Praca, oderwanie się od pokus zepsutego towarzystwa, a obok tego troskliwa i nieustanna uwaga na takie chwiejące się trzciny,—oto główne warunki do osiągnięcia pomyślnego skutku w tym wypadku. Lekkomyślnym bowiem zbywa jedynie na głębokości w pojęciach i gruntowności w wykonywaniu powziętych postanowień, ale nigdy na woli, która ma tylko tę jedyną, ale zawsze najniebezpieczniejszą wadę, że jest niezmiernie giętka i niestała.

c) Obłuda.

Owładnięty tą obrzydliwą wadą, wynikającą z samolubstwa, pragnącego pokryć swe nikczemne zamiary, ucieka się do oszukaństwa dla omamienia drugich. Wada ta objawia się w temperamentach flegmatycznych, a występuje i wzrasta pod różnemi maskami: raz jako nieszczerość i niedowierzanie, to wreszcie jako kłamstwo i chytrość. Ponieważ kłamstwo w tym wadliwym charakterze główną odgrywa rolę, należy przeto zwrócić uwagę, czy ten nałóg pochodzi z obawy kary, grożącéj dziecku w razie schwytania go na złym uczynku, czy też z rozmyślnego postanowienia.

Od kłamstwa pochodzącego z pierwszéj pobudki, t. j. z obawy kary, odzwyczai się dziecko łatwo, skoro go łagodność, zalecająca zamiłowanie do prawdy, a nie zbytnia surowość, do odpowiedzialności za przewinienie pociągnie. Łagodność umiarkowana, przy zastosowaniu niezbyt ostréj pokuty, nie zrazi dziecka do przyznania się w każdym razie do popełnionego błędu. Lecz drugi rodzaj kłamstwa, z rozmysłu i uporu, jest występkiem niecnym i niebezpiecznym.

W takim razie, — ale tylko w tym jedynym — bo tu sama łagodność nie przyda się na nic — należy być nieubłaganym, i z całą surowością przystąpić do wymierzenia przykładnéj kary, którą w miarę uporczywości błędu zwiększać wypada. Sposób kary winien być dobrze obrachowany, a surowość jéj zastosowana do wielkości przekroczenia. Ujma wolności jest według zdania znakomitych pedagogów, najstosowniejszą karą na wszystkie podobne, rażące występki dziecinne. Kary cielesnéj, pod żadnym pozorem wymierzać nie należy, bo ta jest barbarzyństwem, obrazą i zniewagą godności człowieka. Grzechem byłoby więc skazanie wychowańca na plagi cielesne. Ten rodzaj kary zniszczyłby do reszty jego i tak zachwianą moralność, o któréj wychowawcy nigdy zwątpić nie wolno; a stłumienie téj świętéj iskry w dziecka sercu, wyrodziłoby inne, dotąd duszy jego nieznane wady, mianowicie: nienawiść, pogardę i zemstę.

Ukaranie zatém niewolą, będzie w tym wypadku najwłaściwszym i najsumienniejszym środkiem, który może być dwojaki: albo ujarzmieniem woli, albo osoby saméj. To ostatnie, zawiera w sobie i pierwszą karę, — a ponieważ wolność osobista jest najkosztowniejszym darem człowieka, słusznie więc będzie odebrać takową na pewien czas temu, kto tego daru cenić nie umié i na złe używa; wszakże źródłem największych zboczeń, jest swawola skierowana ku złym zamiarom; a przecież to w wolności osobistéj leży możliwość postępowania źle lub dobrze t. j. jak się podoba.

Przy pomienionym występku, jeszcze tę przestrogę dla rodziców i wychowawców dodać należy, ażeby żadnego, chociażby najmniejszego kłamstwa dzieci, za śmieszność lub żart nie brali. Zarówno też strzedz się potrzeba, aby nie wywoływać w dzieciach kłamstwa przesadną surowością. Nadto, win'en wychowawca ściśle dochodzić, czy zeznania wychowańców, jeżeli te podejrzanémi się być wydają, są istotnie prawdziwe. Jeżeli dla uniknienia trudnego dochodzenia prawdy, jak się to często wydarza, wierzy się zupełnie słowom dziecka, to dzieci, przekonawszy się, że im pierwsze kłamstwo uszło bezkarnie, poczynają kłamać z żartu, następnie kłamią z potrzeby, a w końcu z nałogu.

Rozumié się samo przez się, że chcąc w téj mierze cóś naprawić lub zbudować, winni się wychowawcy sami wystrzegać najmniejszego kłamstwa, ażeby dzieci do téj wady nie ośmielić.

Surowa i poważna prawda ma towarzyszyć w każdéj okoliczności wychowawcom; zaś względem ludzi obcych, nie należy w przytomności dzieci okazywać zbytniego pobłażania i grzesznego przemilczania ich fałszywych, nawet przez dzieci namacalnych zdań, — a tém bardziéj poza oczy inaczéj o nieobecnych mówić.

Zdawałoby się ztąd może, że bajki i powiastki dziecinne, niebędące niczém inném jak czystém zmyśleniem, według powyższych uwag, prowadzą do kłamstwa. Wszelako tak nie jest. Twory te piśmiennicze, usposabiają młode umysły do tworzenia własnych wyobrażeń, a tém samém do wynalazków, nie zaś do kłamstwa. Wszakże w takich bajecznych powiastkach, dzieci własnego, t. j. egoistycznego interesu nie mają, prócz zajęcia umysłowego. Jeżeli więc wychowaniec cóś podobnego do bajek lub powiastek sam zmyślać zaczyna, należy go w tém zręcznie kierować, ażeby w takich dziecinnych pomysłach był dowcip, albo sens moralny; a wtenczas te zmyślenia podniosą młody umysł do zdolności poetycznéj, co piękne w tym kierunku rokuje w wychowańcu nadzieje. *(d. c. n.)*

GAWĘDY PSYCHOLOGICZNE

Juliana Ochorowicza.

IV.

Wrażenia. — Kiedy podrażnienia nerwów ruchu dochodzą do świadomości?—Wrażenia jako ruch.—Czy myśl także jest ruchem?—Znaczenie wrażeń dla zdrowia organizmu.—Zastosowanie wszystkiego tego do dzieci. — Siła ruchu i potrzeba wrażeń, jako główne motory organizmów dziecinnych.—Ciekawość dzieci — Zabawy.— Psoty i przestępstwa pod wpływem potrzeby wrażeń dokonywane.— Pedagogiczna konieczność kary i błędy w jéj zastosowaniu.

Ażeby jasno zrozumiéć, co to są *wrażenia*, wykazać ich różnorodny charakter i olbrzymi wpływ na cały zakres duchowego życia naszéj istoty,— musimy ześrodkować nasze „*ja*" w obrębie naszego mózgu, uważając resztę ciała własnego, zarówno jak i wszystkie inne ciała od nas niezależne — za przejawy *zewnętrzne*.

Wykazaliśmy już, że czucie świadome, tylko w mózgu ma swoje siedlisko. Zatém i poczucie własnego bytu, czyli nasze *ja*, nasza samowiedza, tylko w mózgu istnieje. Nerw przenosi wrażenie, ale nerw nic nie wié o tém, co przenosi; tak jak drut telegraficzny nie wié o depeszy, która po nim biegnie. Mózg zato, będący stacyą główną, ma swego telegrafistę—swoje *ja*. Nie to, co mózg odbiera, jest świadomém, ale to, co *ja* w mózgu odbiera—to tylko może być świadomém. Często nam się zdarzy przy silném zajęciu umysłowém, słuchać czyjéj mowy, a jednak nie słyszéć jéj— i przepraszamy osobę mówiącą, żądając, aby nam powtórzyła wyrzeczone słowa; ale w téj saméj chwili słowa te przypominają nam się i odpowiadamy na nie, zanim je nam powtórzą. Widocznie więc; wrażenie dostało się do mózgu; bo zkądżeby się na raz wzięło w umyśle?—nie zostało jednak przez nasze *ja* ujętém, ponieważ to *ja* było w danéj chwili czém inném zajęte. Dopiero, po upływie téj chwili, uwaga zwróciła się na wrażenia, które wbiegłszy do mózgu, czekały na audyencyą — i zostały przyjęte, wysłuchane — stały się *świadomémi*.

Każde podrażnienie nerwów czucia, przenoszące się po nich, w kierunku od zewnątrz na wewnątrz, do ośrodków nerwowych,—zowie się *wrażeniem*. Czém jest każde takie wrażenie, trudno zgadnąć — to tylko wiadomo, że jest pewnego rodzaju *ruchem*... ruchem niewidzialnym, wewnętrznym, cząsteczkowym, ponieważ patrząc na nitkę nerwową, po któréj biegnie wrażenie, nie widzimy w niém żadnéj zmiany zewnętrznéj. Nerw bezczynny i nerw czynny, wyglądają zupełnie jednakowo.

Skoro wrażenie jest ruchem, to i przyczyna wrażeń musi być także ruchem. Tak też jest rzeczywiście. Cóż bowiem pobudza nasze nerwy?— Światło, dźwięk, ciepło, elektryczność, wreszcie uderzenie lub dotknięcie ciał obcych. Że światło, ciepło i elektryczność, są drgającémi falami eteru i cząstek ciał dotykalnych, o tém nas uczy fizyka matematyczna. Że głos jest drganiem powietrza — to rzecz widoczna, ponieważ nie rozchodzi się pod kloszem szklannym, z którego powietrze wyciągnięto. Nareszcie, wszelkie uderzenie lub dotknięcie może być oczywiście tylko dziełem ruchu mechanicznego.

Kto zna teorją przemiany ruchu w fizyce, temu niewątpliwie przyjdzie myśl następująca: Jeżeli przyczyny wrażeń są ruchem, jeżeli same wrażenie jest ruchem, to czyż nie będzie racyonalném przyjąć, że i myśl nasza, która się karmi wrażeniami, także jest ruchem? Wrażenia obudzają myśli, nadają im bieg właściwy, wzmacniają lub też wstrzymują działalność myśli,—czyż więc i myśl sama nie jest pewnego rodzaju przemianą ruchu, wewnętrznego, psychicznego? Zdanie to, rzeczywiście, w spostrzeżeniach naszych nad przejawami spraw duchowych, nie napotyka żadnéj trudności. Ale filozofowie bojący się materjalizmu, bojący się, ażeby uznanie myśli za ruch nie doprowadziło do konsekwencyi, że nie *duch* lecz *materja* myśli, — zdanie to odrzucają. Paweł Janet, przywódca idealnego realizmu we Francyi, w ciekawéj swéj i więcéj dowcipnéj niż ściśléj rozprawie p. t. *Le cerveau et la pensée* (Mózg i myśl) [1], usiłuje obalić ten wniosek teoretycznémi wywodami. Co do mnie, uważam go za najzupełniej logiczny wywód z obserwacyi nad działaniem wrażeń, nad szybkością myślenia, nad przebiegiem wyobrażeń w umyśle, ich kojarzeniem się podczas marzeń i rozmyślań, wreszcie, nad fizjologiczną zależnością spraw ducha od spraw ciała. Ale za ciężki to przedmiot, ażebym mógł go w tém miejscu rozwinąć i dokładniéj rozpatrzéć. Dziś, mam zwrócić uwagę na ową cudowną harmonią zjawisk zewnętrznych zmysłowych, z wewnętrznémi duchowemi— i wyrazić przypuszczenie, że w niedalekiéj przyszłości, nauka zdoła podciągnąć objawy duchowe pod ogólne *prawo przemiany sił* jednych w drugie. Tak tedy zostawmy sprawę myśli w pokoju, a zajmijmy się wyłącznie wrażeniami.

Wiadomo z fizjologji, że każdy ruch organiczny zużywa pewną ilość materji i tym sposobem pociąga za sobą potrzebę odnowy jéj, przez przyjęcie nowych pierwiastków pożywnych w pokarmie. Przebieg wrażeń, jako ruch, tém samém wytwarza ruch i w innych organach— wiadomo, że podrażnienie nerwów ruchu może poruszyć muskuł, a z nią i cały organ; podobnie podrażnienie nerwu dochodzące do mózgu, może wywołać jego czynność, rozbudzić myśli i uczucia, wytworzyć popędy i wolę. Przechodząc przez ulicę spostrzegam nadjeżdżający powóz, i wjednéj chwili cofam się. Wrażenie wzrokowe obudziło we mnie uczucie obawy, myśl o niebezpieczeństwie i popęd do uniknięcia go. Im więcéj wrażeń odbieramy, tém więcéj w organizmie naszym zachodzi ruchów—czy to mechanicznych, widocznych, czy też cząsteczkowych, niewidocznych. Ponieważ zaś, jak wspomniałem, każdy ruch organiczny zużywa pewną ilość materyi, powodując jéj przemianę przy pomocy krwi — przeto im więcéj wrażeń odbieramy, tém więcéj podbudza się w nas krążenie krwi, a z niém rozwój całego ciała. Na tém to polega dobroczynny wpływ świeżych i łagodnych wrażeń na zdrowie organizmu. Często się zdarza, że sama zmiana miejsc, nowe otoczenie, wystarczają do przywrócenia w organizmie naruszonéj harmonji zdrowia. Dziecko niezawodnie rozchoruje się, jeśli je zamknąć w małéj przestrzeni, nie dać zabawek i towarzyszów zabawy, obrazków i widoków natury. Wszystkie czyny dziecka są wynikiem dwóch przyczyn: *siły ruchu*, nagromadzonéj w organizmie w skutek znacznéj stosunkowo ilości przyjmowanych pokarmów, i *potrzeby wrażeń*, pobudzającéj je do ciągłych doświadczeń i postrzeżeń, do próbowania wszystkiego, włażenia wszędzie gdzie tylko można, podpatrywania ruchów, podsłuchiwania rozmów i mięszania się do wszelkich porządków domowych. Ciekawość, właściwa dzieciom, jest wynikiem téj przyrodzonéj potrzeby wrażeń! Dziecko dziurawi bęben, psuje zegarek, dobiera klucze do zamków, rozpruwa lalkę... a wszystko to dlatego, ażeby się dowiedziéć, co tam jest we środku?

Niechno na ulicy odezwie się muzyka wojskowa!—już dziecka za żadne w świecie skarby nie utrzymasz na miejscu; jeżeli mu nie pozwolisz wybiegnąć na ulicę, to przynajmniéj całémi siłami wdrapie się na okno, ażeby cokolwiek zobaczyć. Cóż to za radość, gdy je podniesiesz do góry, pozwalając mu doświadczéć całego szeregu no—

[1]) Wydana w Paryżu 1867.

wych, nieznanych przedtém wrażeń. Zajrzenie i przekonanie się, co też to może leżéć na szafie, albo na piecu, albo co pod szafą lub komodą—będzie dla dziecka równie pożądaną wiadomością, jak dla nas odkrycie tajemnicy stanu w ministerjalnéj depeszy Thiersa lub Bismarcka. Dziecko raz i drugi spadnie z drzewa, na które wlazło szukając wrażeń, raz i drugi przewróci się na ślizgawce—a jednak nie powstrzyma go to od powtórnéj wyprawy na wrażenia. Wypłacze się i wykrzyczy, znowu robi swoje. Czy słuszném jest karać je za to, że są dziećmi? że nagromadzona w nich *siła ruchu* zmusza je do różnych wybryków, a *żądza wrażeń* przewodniczy i kieruje tą wewnętrzną siłą, zużywając ją na bieganie po pokojach, harcowanie po polu, wywijanie batem, krzyk i śpiéwy bezustanne? Zapewne, byłoby to niesłusznem, gdybyśmy mieli inny środek do powstrzymania dziecka od wyuzdanéj swawoli Wiele jednakże na tém zależy, ażeby wychowawca wiedział, kiedy mu wypada użyć kary i jakiéj, iżby nie zapomniał, że nie zła wola dziecka, ale poprostu przyrodzona *siła ruchu* i *żądza wrażeń* kierują jego czynami. Takie wątpliwości najlepiéj rozjaśniają się na przykładzie: Dziecku pozwolono biegać po wszystkich pokojach i włazić na krzesła — krzyczy ono, hałasuje, przewraca stołki, a starsi śmieją się z jego figlów— dziecko widząc to, coraz więcéj sobie pozwala—pochlebia mu to, że wzbudza ogólną wesołość—włazi już nie tylko na stołki, ale i na stoły.... i wtedy starsi zaczynają przestrzegać: „Jasiu! nie właź na stół, to niegrzecznie, zrzucisz co ze stołu!“ Ale Jaś miał dosyć czasu rozpędzić się w swawoli, rozbudzone krążenie krwi i ciągłe odwety machinalnie podbudzają jego wybryki a spojrzenie rzucane machinalnie, co chwila podsuwa mu nową, myśl pustą. Reszta dzieci pomaga mu, emulacya, okrzyki i zachęty obudzają w nim zapał niesłychany. — Jaś przystawił krzesło jedno i drugie i gdy już miał nogę zakładać na szafę, rusztowanie chwieje się—Jaś potrąca zegar, który spada z łoskotem, a za nim i nasz bohater blady, wystraszony. — Niebezpieczeństwa, co prawda, nie było — jeden guz i kilka sinców, zniknął do wesela, według zapewnień Marysi—ale oto, zbliża się chwila stanowcza, straszna: Jasio zostaje wezwany do zdania sprawy ze swych czynów. Płacz i lament niezmierny — inne dzieci poumieszczały się po kątach i oczekują co będzie... Jaś świadczy się Manią, że nic temu wszystkiemu nie winien—niestety, napróżno—kara musi być spełnioną i to w stosunku prostym do wartości rozbitego zegara... Jaś zostaje oćwiczonym raz i drugi — raz przez matkę, drugi raz przez ojca, który wróciwszy do domu, ze zgrozą dowiedział się o tém, co zaszło. Jaś, wprawdzie jest jeszcze małém dzieckiem, nie zna wartości rzeczy, a zatém obawa przysporzenia rodzicom strat znacznych nie może go powstrzymać — ale co to rodziców obchodzi! Jest fakt, że potłukł zegar—gdyby to był garnek za 2 gr. byłby dostał tylko napomnienie, ale czy podobna darować mu zniszczenie zegara, kosztującego paręset rubli?„Na drugi raz on by mi najdroższe wazony potłukł“ mówi matka—a skoro tylko matka nie przyznaje okoliczności łagodzących, to już wszystko stracone, wyższéj apelacyi niéma! .. Jaś ma zepsuty humor na cały dzień i dwa następne; mruczy tylko, gdy go zaczepiają, a złości się, gdy się z niego śmieją—nie chce jeść obiadu, a gdy młodszy brat zaczyna go przedrzéźniać, uderza go batem.— Nowa egzekucja!.. Jeden płacze, drugi krzyczy—matka bije bezlitości, bo już nie widzi innego punktu wyjścia. Przychodzą goście — ponieważ niepodobnaby rozmawiać przy takim krzyku, dzieci zostają zamknięte do komórki. Silniejszy chłopiec trzęsie się ze złości, bije pięściami we drzwi, zdaje się że mu coś pęknie w gardle od krzyku — a matka rozmawia z gośćmi o wczorajszym balu i jutrzejszéj maskaradzie.... ażeby żaś nie słyszéć krzyku, każe tylko drzwi zamykać.

Nie potrzebuję dodawać, że się takie rzeczy bardzo często praktykują, ponieważ każdy z czytelników widział je na własne oczy. Patrzy się na takie sceny jak na wypadki powszednie, robi się je *dla dobra dzieci*, i nikomu na myśl nie przyjdzie, że w ten to właśnie sposób, wychowuje się społeczeństwo złych, podstępnych, zawziętych, a jednocześnie tchórzliwych, bo wspomnienie strasznéj kary przeraża ich, i zamiast do poprawy—tylko do zemsty usposabia.

Nikomu na myśl nie przyjdzie, że jeźli dziecko nie ma rozumu, to starsi go miéć powinni—że widząc dziecko dokazujące coraz to więcéj, powinni przewidziéć, dokąd je rozpęd swawoli doprowadzić może, i zamiast czekać aż się spełni przestępstwo, uprzedzić je umiejętném skierowaniem czynności dziecka w inną stronę, ażeby nagromadzoną *siłę ruchu* zużyć, a *potrzebę wrażeń* zaspokoić. Należało w tym celu wmięszać się do zabawy dzieci, wymyśléć nową grę, samemu przyjąć w niéj udział, a dzieci niewątpliwie będą się bawić tém chętniéj i z pożytkiem moralnym, jeśli tylko gra była umiejętnie obmyśloną.

Powtóre, jeśli już niepodobna oszczędzić dzieciom kary, czynić to należy bez uniesień gniewu, bez złości, ażeby dziecko widziało, że nie dlatego je karzą, by na niém swą zemstę wywrzéć, lecz by je skłonić do przeproszenia rodziców i obudzenia wstrętu do złego. Tém więcéj zaś nie należy, przy zadawaniu kary, stosować jéj do wartości uszkodzonego przedmiotu, któréj dziecko samo ocenić nie może,—bo tym sposobem obudza się w niém uczucie niesprawiedliwości, a raz uznawszy niesprawiedliwość kary, dziecko widząc w niéj tylko zemstę, a nie następstwo winy,—przestanie kojarzyć w swym umyśle pojęcie kary z pojęciem winy, i popełniwszy drugi raz błąd podobny, nie upokorzy się przed rodzicami, wyznając go, ale na zimno rozmyślać pocznie, jakim podstępem niesprawiedliwéj kary uniknąć? (*d. c. n.*)

PRZEGLĄD PISMIENNICTWA POLSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

W téj zaś drugiéj połowie, następuje zmiana niespodziewana. Podkomorzyc, fałszywie uwiadomiony, jakoby kochanka zdradziła go i uciekła, pomimo rezygnacyi z jaką przyjął tę wieść bolesną, zawsze na dnie duszy zachował tlejący ogień namiętności, która wpłynęła nawet na spospolitowanie i znieczulenie jego młodzieńczéj wrażliwości, i nauczyła go zatapiać się w głębi duchowego wnętrza, a obojętnie spoglądać na różnobarwny wir i mieniącą grę spraw bieżących tego świata. Nie został on jednak anachoretą, mizantropem, ale owszem, brał udział w świetnéj komedyi życia, „*ciałem*“ tylko, jakbyśmy rzekli, obojętnie, zimno, od niechcenia, bo myśli jego gdzieindziéj ulatywały. Krewny jeden, swata go ze swoją chrzestną córką, piękną Sylwiną, córką marszałka Przykory, i rzeczywiście dzieło swoje doprowadza szczęśliwie do celu. Witold, wstępuje w progi małżeńskiego pożycia, a raczéj, daje się machinalnie wciągnąć do tego nowego stanu, z takiém samém usposobieniem, jak przystępował do wszelkich czynności potocznego życia. Czuje, że przecież kiedyś wypada mu się ożenić— może sam niepomyślałby o pannie Sylwinie, ale zarażony chwilowo pewną apatyą moralną, bez zastanowienia, machinalnie poddaje głowę pod jarzmo brylantowe, nie rozważywszy, czy warto ją skłonić dla swéj przyszłéj połowicy. Panna Sylwina—to także doskonały charakter niewieści, żywcem wyjęty z pewnych sfer naszego społeczeństwa. Piękna i hoża, wesoła i żywa, czerstwa i rumiana, pod względem moralnym była to sobie „sroczka,“ jak ją trafnie jedna z figur powieści nazywa, która potrafiła tylko szczebiotać, bawić się i czytać liche romansidła. Ufna w swój posag i wdzięki, rachowała na świetną partyą,— i rzeczywiście, pod względem materyalnym, Witold był dla niéj konkurentem przechodzącym wszelkie nadzieje. Rozumie się jednak, że dzieje tak niedobranego małżeństwa nie były arcy szczęśliwe. Pani Sylwina bawiła się i tańczyła, gdy tymczasem mąż jéj siedział w bibljotece i studyował Tomasza a Kempis. Witold—pomimo wysiłków, nie może uczuć do żony nawet przywiązania, Sylwina—nie stara się nawet zdobyć to uczucie, ale pocieszając się po melancholji smutnego męża, prowadzi romans z wesołym p. Koniuszycem, typem prowincyonalnego birbanta—lowelasa. Mąż, dostrzegł to z początku, i stanowczo zabronił bywać w domu temu dawnemu konkurentowi, który chciał mu obecnie rogi przyprawić. Ale w czasie pobytu u wód Druskiennickich, pani Sylwina, za pomocą swéj staréj garderobianéj, urządziła tajemne schadzki z czułym amantem, które przybrały wreszcie niewinną formę— wizyty u pana Koniuszyca w hotelu. Było to już ułożone, ale nieszczęściem, za pomocą plotki, o któréj jużeśmy wspominali, doszło do uszu p. Celiny, która obszernie występuje w powieści, a w rozwiązaniu ważną gra rolę. Ta piękna, ekscentryczna emancypantka, żyjąca w separacyi z mężem niedołęgą, pomimo tysiąca grymasów i fantazyi, pomimo życia niezbyt rachującego się z formami przyzwoitości światowéj, posiada serce szlachetne, chociaż ślepo podległe porywom namiętności, gdy się zdecydowało pokochać kogo prawdziwie. Gdy nienasyciła tysiącznémi wybrykami czczości uczucia, które w najtajniejszych swych głębiach jeszcze spało ukryte, nagle, poczuła silną i głęboką miłość dla Podkomorzyca. Witold lubił ją, to prawda,—bywał często wśród tłumu odwiedzających gości, ale nie czuł żadnéj głębokiéj sympatyi. Tymczasem ognista kobiéta, uniesiona szałem obłędnym, dowiedziawszy się o zamierzoném małżeństwie Witolda,—w czasie jego odwiedzin, w namiętnym wybuchu wyznaje mu miłość swoją. Otrzymawszy chłodną, reflektującą odpowiedź, popada w boleść głęboką, odosabnia się od ludzi, a co najgorzéj, uczuwa toczący serce jad bólu, gryzącego żalu i zarody nienawiści ku temu, którego tak

salenie uko chała. Dowiedziała się następnie o dawnym jego stosunku z Natalją, z którą się poznała i serdeczną przyjaźń zawarła. Otóż, kiedy w czasie pobytu w Druskiennikach, gdzie także znajdowała się ze starą, chorą ciotką, Natalja,—dowiedziała sie o owéj zamierzonéj schadzce— chwyta sposobność zemsty, chociaż nieszlachetnéj, i donosi o tém Witoldowi. Natalja, za ten postępek gorzkie wyrzuty jéj czyni. Ponieważ chwila stanowcza się zbliża—chcąc zaradzić fatalnemu zajściu, działa stanowczo, z istotnie bohaterskiém zaparciem się własnéj godności, z narażeniem swego dziewiczego honoru. Wpada do mieszkania Koniuszyca, przerywa romansowe gruchania czułéj pary, i oznajmia o przybyciu Witolda. Sylwina ucieka tylnémi drzwiami, a Natalja na jéj miejscu zostaje. Podkomorzyc w kilka minut wchodzi do pokoju, z wyniosłym spokojem. Scena spotkania, skreślona dziwnie trafnie, pozbawiona wszelkiéj affektacyi i krzykliwości. „Wolałbym żeby to była tamta“! Ten prosty, a jednak wysoko charakterystyczny frazes, maluje doskonale zranioną duszę młodzieńca. Wkrótce jednak Witold, zawiadomiony natychmiastowo przez Celinę o całéj istocie rzeczy, przekonywa się o szlachetnéj grze pozoru, rozwodzi się z Sylwiną i... na prośby matki jego, Natalja zostaje Gesztorpową.

Sama podkomorzyna otworzyła serce na głos wymowny faktów tak wysokiego poświęcenia, zrzuciła dawną dumę i otoczyła pierwsze chwile małżeństwa młodéj ekonomówny, całą tkliwą, czułą i serdeczną siłą macierzyńskiéj miłości.

Ostatnie sceny, wykonane trochę pobieżnie,— znać tu już pośpiech zniecierpliwionego pióra. Szkoda to niemała, boby zyskały na logicznem umotywowaniu, przemawiałyby daleko więcéj nieprzepartym głosem konieczności realnéj. Nie są one jednak podług nas fałszywe, chociaż także zakrawają na paradoksalną nieco idealność. Wprowadzając charaktery wyrosłe nad poziom zwyczajny w grę dramatyczną, dochodzi autorka siłą rozwoju logicznego, do podobnych sytuacyj, które niejednemu wydawać się mogą wyjątkowémi, albo nieprawdopodobnémi. Takie jednak już prawo natury, że gdy ścierają się brzemienne elektrycznością, pędzone silnym, gwałtownym wichrem, chmury—krzeszą błyskawice i gromy. Pragnęlibyśmy jednak nieco szerszego wyświetlenia i analizy sprężyn moralnych—nieraz zaznaczonych tylko,— owéj Sandowskiéj dokładności, która właściwie użyta, nie zawadza sile i precyzyi, ale owszem, dodaje większego uroku najgłębszym i najdramatyczniejszym scenom. Godziło się to uczynić, kiedy tak skrupulatnie pamiętano o niektórych innych, zewnętrznych sprężynach.

Jeżelibyśmy wreszcie chcieli z ostatniego utworu, wyciągnąć ostateczną kwintenssencyą sądu o talencie Zbigniewa — musimy się tylko pochlebnie wyrazić. Pomimo rzeczywiście niezbyt bogatéj nici głównéj akcyi, która jednak nie jest opartą na zużytych i oklepanych motywach, powieść ta uderza wielkiém bogactwem, złożoném całą niemal połową w epizodach. W opowiadaniu treści, pominęliśmy mnóstwo osobistości, których artystyczną wartość określiliśmy już wyżéj. Z tego wszystkiego wynieśliśmy to silne przekonanie, że Zbigniew, na swéj palecie literackiéj, posiada barwiste farby, do odmalowania zarówno namiętności i uczucia, do skreślenia scen porywających, jak i szkicowania rodzajowych typów, drobnych figurek pospolitego życia, do uchwycenia śmiesznostek i komicznych przywar maluczkich duchem śmiertelników. Zapewne że pierwsza strona przeważa, ale w potrzebie niebraknie drugiéj. Nie jest on jednak jeszcze pisarzem *idei*. Mówiliśmy wprawdzie że utwór jego ma ideę. Więc to sprzeczność? Nie, wcale. Zbigniew nie jest takim bezmyślnym pisarzem, którym opowiadał dla samego opowiadania. Zresztą, nietknąłby się kwestyi bezbarwnéj, i nic nie mówiącéj. Ale, nie stanął na istotnym szczeblu pisarskiego apostolstwa idei—nie miał na uwadze *głównie* faktów, które są jéj twórczemi pierwiastkami, nie starał się o przedstawienie tych faktów wyłącznie tylko *dla niéj*, nie starał się o wyczerpanie jéj *rozciągłości*, ale raczéj w jednym, niezbyt ogólnym nawet pochwycił objawie. Najpiękniejszym jednakże celem dla tego pióra, powinno być podług nas, takie zapisanie się pod sztandarem poetycznych szermierzy, walczących o wykazanie żywotności postępowych, twórczych prawd socyalnych. A jest po temu wszelka siła, potrzeba tylko stosownego *skupienia*, umiejętnego *ześrodkowania* w jednym wytkniętym celu, w jednéj oznaczonéj *tendencyi*— potrzeba dzielnéj artystycznéj strategji, któraby te piękne oręże talentu, poprowadziła na zaszczytne pole walk duchowych, co wstrząsają teraz tak silnie ludzkością całą. Co do nas, mamy niepłonną nadzieję, że Zbigniew i na tém polu uszczknie laury zwycięztwa. (*d. n.*)

Z kroniki przemysłowéj i społecznéj.

— Rzemieślnicy warszawscy, chcąc się zabezpieczyć od niedostatku, gdy już, czy to skutkiem starości, czy téż choroby, pracować nie będą mogli,—za inicyatywą bogatszych a dbałych o dobro ogółu fabrykantów,—mają zamiar utworzyć stowarzyszenie emerytalne, ustawa którego, napisana przez specyalistów i praktyków, posłaną została do zatwierdzenia. Myśl to bardzo pożyteczna; stowarzyszenia emerytalne bowiem, najwięcéj może dla rzemieślników są potrzebne. Ludzie ci wyłącznie z ciężkiéj pracy się utrzymują i rzadko mają sposobność zebrania jakiego kapitałku.

* * *

— Najlepszym dowodem, jak potrzebne jest u nas Towarzystwo Zachęty Rzemiósł i Przemysłu, jest fakt, że aż dwie partye naraz, robią starania o dozwolenie zawiązania takowego. Partya pierwsza, do któréj należą najwięcéj czynni i specyalni na tém polu ludzie, blizką już jest doprowadzenia swych zamiarów do końca, i mamy nadzieję, że wkrótce podamy czytelnikom bliższe szczegóły stowarzyszenia, bardzo wiele pożytku przynieść mogącego.

* * *

— Dnia 28 Stycznia b. r. miało miejsce nadzwyczajne Ogólne Zebranie członków Stowarzyszenia Spożywczego Merkury, dla obradowania nad podanémi przez 32 członków wnioskami, których treścią był głównie projekt powiększenia i tak już dużéj administracyi, przez dodanie delegacyi aż z 20-stu członków złożonéj... Głos, w imieniu wnioskodawców, zabrał Dr. Kuczyński, po nim p. Nagórny, który proponował utrzymanie dawnego porządku rzeczy z powiększeniem liczby członków z 3 na 5. Następnie przemawiali pp. Walewski, d'Hauterive, Wiślicki, Grabowski, Jundziłł, Szumlański i pani Ćwierciakiewiczowa. Ostatecznie p. Makowiecki, zaproponował utrzymanie dotychczasowych organów ze wszystkiémi ich attrybucyami, z powiększeniem tylko komisyi rewizyjnéj do osób 7. I ten ostatni wniosek Zebranie zatwierdziło.

Przyznać trzeba, że z tak małą zmianą można było poczekać do mającego się odbyć niedługo Zebrania zwyczajnego.

* * *

Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, na Zebraniu w dniu 27 Stycznia r. b. odbytém, uczyniło pierwszy krok na drodze decentralizacyi, mianowicie, postanowiło przy każdéj z ochron utworzyć odzielną Radę, któréj obowiązkiem będzie staranie się o środki utrzymania powierzonéj sobie ochrony, podczas gdy poprzednio główna kassa się tém zajmowała. Następnie, z powodu ogromnéj zaległości w opłacaniu składek przez członków, bo aż 7000 rs. wynoszącéj, postanowiono, że odtąd, oznaczanie wysokości składki, będzie zależało od samych członków, byle tylko ta nie była mniejszą jak 3 rs. od członka czynnego, a rs. 12 od nieczynnego. Natomiast, wolno choćby miesięcznémi ratami wnosić takowe. Nowych członków przyjęto 16-tu. Wreszcie, zakończono posiedzenie wybraniem członków Komitetu Rewizyjnego.

J. Święcicki.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(*Ciąg dalszy.*)

V.

Tego samego dnia, w którym miss Cains z Saint-Vincent odjechała, przybyła miss Glyn i zajęła nowe swoje mieszkanie, o półgodziny pieszéj drogi od opactwa. Nazajutrz, przysłała bilecik z zaproszeniem do swéj kuzyny i siostrzenicy. Sybilla znudzona książką, jedyną jéj teraz rozrywką, rzekła do pani Mush:

— Pójdźmy dziś jeszcze.

Pani Mush także była radą użyć przechadzki, niebawem więc się wybrały. Piękna, samotna droga, wysadzona olbrzymiémi dębami, po obu stronach nieuprawne wzgórza i pasące się na nich trzody, nadawały właściwy charakter téj okolicy. Murowany dom pani Glyn stał samotnie, otoczony ogrodem staroświeckim i zapuszczonym; z jednéj strony ciągnęło się mokradło i rzeczka, z drugiéj skaliste wzgórza; horyzont zamykały ruiny Celtyckie, znane już Sybilli. Dziwne to było miejsce do prowadzenia interesu handlowego.

Miss Glyn wyszła na spotkanie swych kuzynek.

— Cieszę się, że panią widzę—rzekła do pani Mush z afektowaną grzecznością,—Cóżto Sybillo, tak blado wyglądasz?

— Panna Cains odjechała dziś rano—odpowiedziała Sybilla. Ciotka jéj zachorowała.

— Mocno mnie to cieszy—odpowiedziała miss Glyn, mniéj bacząc, do czego się gramatykalnie to jéj powiedzenie odnosi. Spodziewam się, że panna Cains, nie zechce już nigdy wracać do domu mojego szwagra.

Łzy zabłysły w oczach Sybilli, nie chciała jednak spierać się z ciotką. Wolała zmienić przedmiot rozmowy i rzekła z westchnieniem:

— Jakże tu jeszcze mało porządku u ciotki!

— Moja droga, ja teraz w swoim jestem żywiole. Nie widziałyście jeszcze mojego kantoru—pójdźcie tędy—naprzód o nim pomyślałam.

Poprowadziła je do sąsiedniego pokoju: wysoki pulpit z wysokim przednim stołkiem, biurko z ogromnémi szufladami, księgami buchalteryjnémi, kałamarz olbrzymi i inne podobne przyrządy ozdabiały ten pokój.

— To mój *buduar*—rzekła miss Glyn z widocznem upodobaniem, i tu, Sybillo, znajdziesz mnie przy mojém ulubioném zatrudnieniu, ile razy zechcesz mnie odwiedzić.

Sybilla spoglądała zadziwiona.

— Ciotko,—zawołała—co myślisz robić?

— Moja droga, trudno ci to opowiadać—nie masz talentu do spekulacyi, i pani Mush zapewne się nie rozgniewa, jeżeli jéj powiém, że nie zna się na tych rzeczach.

Pani Mush, która miała minę niezwykle poważną i zamyśloną, kiwnęła głową, jakby przytakując, ale nie rzekła ani słowa.

— Bo widzicie—mówiła daléj miss Glyn, zapalając się—błędem nowożytnego handlu, jest oddawanie się jednemu przedmiotowi: i dopóty źle będzie, dopóki nie wrócimy do planu średnich wieków, kiedy to kupcy byli książętami, rządzili miastami, byli posłami, słowem, faktycznymi panami Europy. Wszystko to zmieniło się zdaniem mojém, w skutek połączonego działania bankierów i arystokratów. Bankierzy doszli do potęgi—pieniężnéj, rozumie się—która należy się kupcom, a nie im. Bo co to jest bankier?—powiédźcie mi? Bankier—to złodziéj,—mówiła daléj miss Glyn z rosnącą energią, — zbiéra pieniądze gdzie nie powinien; jego zarobek to nie z uczciwéj pracy!... Ale gadam wam o tém, czego nie rozumiécie—dodała, powstrzymując się z uśmiéchem;—zawsze to jedno możecie zrozumiéć: zamierzam prowadzić handel nie jednym przedmiotem, ale wieloma. Będę siać rzepak i siemię sprzedawać; będę śledzie solić i sprzedawać; tak samo i masło. Ale szczególniéj zajmę się tak mało dotąd ocenionym porostem morskim. Importujemy guano, a zaniedbujemy tak potężnego nawozu, jakim jest porost morski,—to niedorzeczność"!

Sybilla spoglądała to na ciotkę, to na panią Mush, coraz to poważniejszą, nie wiedząc, co sądzić o tém wszystkiém, a tém mniéj, co powiedzieć.

— Pijmy tu herbatę,—zawołała miss Glyn, widocznie oczarowana swoim kantorem. Różo, podaj nam tu herbatę.

Rozkaz ten został wykonany, a jakkolwiek i herbata i śmietanka i ciastka były doskonałe, Sybilla nie znalazła przyjemności w posilaniu się w taki sposób; niemiłe na niéj robiły wrażenie owe wielkie księgi, sterczący pulpit i ciężkie, niezgrabne biurko. Uderzało ją także milczenie pani Mush; rada więc była, gdy nadszedł wieczór i towarzyszka jéj zabrała się do odejścia. Miss Glyn nie zatrzymywała ich; umysł jéj zbyt był zajęty, iżby miała myśléć o gościnności.

— Moja droga, rzekła do Sybilli, całując ją przy rozstaniu—nie przychódź do mnie aż za tydzień, bo przez ten czas bardzo będę zajęta. Dobranoc więc, do widzenia.

— Dobranoc ciotko,—rzekła krótko Sybilla. W istocie, dotknięta była tą przestrogą i zostawszy sama z panią Mush, wynurzyła jéj swoje nieukontentowanie.

— Czy to ładnie ze strony ciotki? Jabym tak chciała być jéj w czém pomocną, a ona traktuje mnie jak obcą osobę.

— Biedna miss Glyn, rzekła na to pani Mush — zrujnuje się napewno. I nie można jéj nawet ani słowa uwagi powiedziéć.

— Więc—więc sądzisz pani, że jéj spekulacya nie pójdzie dobrze?

— Czy sądzę! Pewna jestem... Ale niéma na to rady.

Zmartwiło to Sybillę; przyszło jéj potém na myśl, że pani Mush może się mylić, a potém lekceważyć interesa i przedsiębierstwa, jak to zwykle robią młodzi ludzie. Przestała się niémi zajmować, a wróciła do myślenia o swoim smutku. Miała dosyć na to czasu, bo miss Cains nie dotrzymała obietnicy i nie napisała do niéj. Kennedy zaś, nigdy nie miał zwyczaju pisywać do niéj.

Gdy skończył się tydzień zakreślony przez pannę Glyn, nadszedł od niéj bilecik, zapraszający panią Mush, a zwalniający Sybillę od przyjścia. Pani Mush, która słyszała już, że Róża, służąca panny Glyn, była pod zarzutem lekkomyślnego prowadzenia się, zgadywała przyczynę tego wykluczenia Sybilli, i na zdziwiony, pytający wzrok Sybilli, odpowiedziała:

— Moje serce, twoja ciotka jest bardzo dyskretna osoba, a nadto ma cię za małe dziecko, które trzeba zostawić w domu. Ale niedługo powrócę.

Obietnicy téj nie dotrzymała jednak. Znalazła pannę Glyn niezmiernie rozdąsaną, siedzącą w kantorze na wysokim stołku, zmienionym teraz na sędziowski trybunał, a przed nią winowajczynią Różę, we łzach stojącą. Pani Mush starała się ułagodzić zagniewaną panią, wytłómaczyć lekkomyślność sługi, szedł wywód sprawy i tak czas przechodził.

Są dnie i godziny, w których samotność staje się męką, i takim właśnie był dzień ten dla Sybilli. Niedługo po odejściu pani Mush, zaczął rzęsisty deszcz padać. Uderzył z mocą w szyby i wstrząsał nerwy Sybilli. Chciała sama zamknąć okiennice, a gdy otworzyła okno, wiatr oblał jéj twarz potokiem deszczu, a zwolnioną z haczyka okiennicą, uderzał z trzaskiem o ścianę, tak, iż Sybilla prędko musiała zamknąć okno i wrócić do kominka. Smutno jéj było, a wesołe śmiechy służby, dochodzące do niéj z kuchni, jeszcze ją bardziéj rozdrażniały. Zazdrościła im Sybilla.

— Ach, żeby prędzéj powróciła pani Mush!—myślała sobie.

Wzięła książkę, ale nie mogła czytać; zabrała się do roboty, ale złożyła ją wkrótce; siadła więc z założonémi rękami, patrzyła w ogień, i pogrążyła się w dumaniu. Ciotka, ojciec, pan Dermot i Blanka, po kolei stawali jéj na myśli. Widziała morze rozhukane i okręt rzucany falami,—zerwała się niespokojna i aby zagłuszyć poświst wichru, siadła do fortepianu, otworzyła go i zagrała najweselszą ze znanych piosnek irlandzkich. Ale i w najweselszéj irlandzkiéj muzyce, jest jakaś jedna żałosna nuta, łatwo mogąca urosnąć w skargę. Owa piosnka irlandzka, chociaż wesoła, była dzika,—a dzikość pokrewna ze smutkiem. Ciągle wracała Sybilla do téj smutnéj nuty, ciągle ją uwydatniała, aż wzrosła w śpiew żałobny, płaczący. Przestraszona Sybilla wstała od fortepianu, a gdy się obróciła, stanęła niema, bez tchu z podziwienia: drzwi się otworzyły i w nich stanął na progu Dermot. Postać jego dziwnie odbijała od ciemnéj głębi przedpokoju. Blady był, zmieniony, a woda lała się z niego, jakby go tylko co wyrzuciły morskie odmęty.

Nigdy nie zapominała Sybilla radości, jaką jéj kiedyś jego przybycie sprawiło. Rzuciła się więc ku niemu i teraz, wołając:

— O, jakże się cieszę, że pana widzę!

Oczy jéj błyszczały, a twarz rozpłoniła się szczęściem; widział to wszystko Dermot, ale nie zmienił chłodnego wyrazu twarzy. Podszedł do ognia, wziął krzesło i zaczął się suszyć.

— Czy pan chory?—wyjąkała Sybilla przestraszona wyrazem jego twarzy.

— Nie, tylko przemokły.

— Ale, nie odjeżdżasz pan znowu?—szepnęła prawie.

— Nie,—odpowiedział poważnie.

Kilka minut upłynęło w milczeniu. Kiedy Sybilla podniosła bojaźliwy wzrok na Dermota, uderzona została ponurym wyrazem jego twarzy. Radość, jaką czuła z jego powrotu, znikła nagle; w téj surowéj twarzy było coś zapowiadającego nieszczęście. Czytała je w jego oczach, i czekała lada chwila jakiegoś ciosu.

— Myślałam... myśleliśmy, że pan pojechałeś do Kanady—powiedziała nareszcie.

— Miałem jechać, ale już nie pojadę.

Sybilla zaczerwieniła się i spuściła oczy. Wiadomość ta uradowała ją; czekała bliższych objaśnień, ale Dermot milczał.

— Bardzoś pan przemókł, — rzekła znowu bojaźliwie. Taki deszcz leje... Może kazać podać co gorącego?

Podniosła rękę do dzwonka, ale Dermot ją wstrzymał; ręka jego, jak rozpalone żelazo, zaciężyła na jéj ramieniu, lekkim muślinem tylko, osłoniętém.

— Pan masz gorączkę,—rzekła.

— Podobno, ale nic to nie znaczy.

Sybilla przeraziła się.

— Jeżeli to nic nie znaczy, zatém jest cóś jeszcze gorszego. Drżała, chciała wykrzyknąć: „powiedz mi wszystko, — choćby co strasznego. Niech wiém odrazu!"

— Myśl tę dostrzegł Dermot na jéj przelękłéj twarzy, bo spojrzał na nią tak przenikliwie, tak dziwnie, że jéj się serce ścisnęło.

— Co się stało, panie Dermot! Opowiedz mi, co się stało?—rzekła błagalnie.

— Złe nowiny przynoszę.

Sybilla zerwała się, uderzyła w dłonie.

— Mój ojciec chory!—zawołała, a wzrok jéj wyrażał obawę czegoś gorszego jeszcze, bo śmierci.

Dermot zrozumiał ją, bo odpowiedział pośpiesznie:

— Żyje—i jest zdrów.

Sybilla odetchnęła nieco spokojniéj.

— Nie, co innego się stało—mówił daléj Dermot.

Sybilla siadła i zapytała spokojniejszym już tonem.

— Może stracił dużo? zbankrutował?

— Nie, i nie to—ponuro odpowiedział Dermot—Rzecz gorsza... gorsza dla pani.

Czyżby jéj ojciec dopuścił się jakiego przestępstwa? Spojrzała na Dermota przestraszonym wzrokiem.

— Panie Dermot—rzekła rozdrażniona, składając drobne ręce. Nie bierz mnie na tortury! lepiéj mnie zabij odrazu!

— Otóż Sybillo—twój ojciec ożenił się.

— Ożenił się!—rzekła uśmiechając się nieco—Ożenił?

Pierwszém jéj wrażeniem było osłupienie. Potém, przypomniała sobie jego czułość, pieszczoty, uwielbienie dla niéj przez lat tyle, wszystko to znikło odrazu, — pozostała jakaś obca kobieta, między nim a nią stojąca. Podniosła ręce do twarzy, a łzy zaczęły jéj przez palce przeciekać. Dermot nie przeszkadzał jéj płakać, wiedział, że lepiéj jéj będzie gdy się wypłacze. Wzrok ponury, i nieporuszony wlepił w połyskujący w kominku ogień.

— Ożenił się—rzekła w końcu Sybilla. Wszakże tak powiedziałeś pan? Możem źle zrozumiała? Miałeś pan jechać do Kanady—czyż to prawda, że siedzisz tu zemną i mówisz do mnie?

— Prawda—odpowiedział—i to także prawda, że ojciec pani się ożenił, i że będziesz potrzebowała przyjaciela... a tym przyjacielem i bratem chcę być dla ciebie... ja!

Wyciągnął do niéj rękę, jakby ją chciał przyciągnąć do swego boku i osłonić przed jakiémś niebezpieczeństwem. Sybilla cofnęła się, zerwała się na nogi, przestraszona, blada.

— To nie wszystko jeszcze—zawołała, stając przed nim—Powiedz mi pan wszystko, wszystko!

— No, tak, to nie wszystko—rzekł wstając również. Nie zapytałaś mnie pani jeszcze, kto jest żoną twojego ojca.

— Nie,—rzekła słabym głosem. Powiedz pan.

— Blanka Cains.

Oczy Sybilli zabłysły, — odskoczyła od niego.

— To nieprawda! zawołała. Zawsześ ją pan nienawidził, a teraz spotwarzasz! To nieprawda!

Sybilli z tém oburzeniem bardzo było do twarzy,—ale Dermot nie zwracał na nią uwagi.

— To prawda — rzekł szorstko, i z tak poważném a ponurém spojrzeniem, że trudno było nie wierzyć w jego słowa.

Sybilla czuła, że krew jéj zastyga w żyłach. Wstrząśnienie, jakie jéj zdrada kochanka sprawiła, niczém było w obec tego, jakiego doznała teraz. Zamierała w niéj wszelka wiara w ludzi i w ich uczciwość. Patrzyła na Dermota suchémi oczami. usta jéj drgały, ale ani nic widzieć, ani nic mówić nie mogła. Widziała tylko ruinę jedynego wielkiego uczucia w swém życiu. Przyjaciółka ją zdradziła. Druga połowa jéj saméj oszukała pierwszą połowę. Serce jéj serca przeniewierzyło się. Świat się kończył—ciemność ją ogarniała.

— Ale to nie może być!—zawołała, czepiając się szczątka nadziei. On nie lubił Blanki, pan wiesz—nie mógł jéj znosić!

— Nie lubił jéj!—rzekł Dermot z zimnym uśmiechem, a opuścił dom, żeby się z nią ożenić!.. I ona pojechała za nim. O, tak, nienawidził jéj... i przekonany jestem, że i ona go nienawidziła.

Śmiał się. Sybilla opuściła ręce w rozpaczy. Płakać nie mogła, rozpamiętywując przeszłość; widząc, jak jéj ojciec i przyjaciółka łącznie ją oszukali, zawiedli jéj miłość i ufność.

— Więc to wszystko było udaniem! — zawołała. On kochał ją oddawna i ona, którą kochałam nad życie, oddawna starała się pozbawić mnie miłości ojca! Ściągnęłam ją tu, biedną, opuszczoną; broniłam ją od wszystkich... podczas gdy ona przemyśliwała o zdradzie, i teraz jest żoną mojego ojca! panią tego domu! *(d. c. n.)*

WIENIEC.

— Dnia 28-go z. m. odbyła się w teatrzyku Dobroczynności prelekcya p. Jana Kantego Gregorowicza, redaktora Przyjaciela Dzieci, o *wpływie myśli i uczucia na rozwój cywilizacyi i na wychowanie dzieci*. Z odczytów tegorocznych, był to zaprawdę jeden z najważniejszych dla ogółu. Sądziliśmy téż, że sala przepełniona będzie słuchaczami, bo nic nas bardziéj zapewne obchodzić nie powinno, jak sprawy *wychowania*. Niestety, salą *zaledwie* była napełniona, a w tém jeszcze ojców i matek było jak na lekarstwo; większą połowę słuchaczów stanowiła młódź męzka! Nie dziwiłoby nas to wcale, gdyby czytano o anatomji lub sztuce erotycznéj, ale kiedy mowa o *reformie wychowania*, powinniby już sami rodzice i opiekuni natłoczyć salę od piérwszego do ostatniego miejsca. Rodzice *nasi* wychodzą zawsze jeszcze z téj optymistycznéj zasady, że nie ma nic takiego w kwestyi wychowania, czegoby oni nie wiedzieli... Sztuka wychowania, to niby rzecz przyrodzona, i dość być ojcem i matką, ażeby się nie radzić nikogo o lepsze rady i wskazówki. W Anglji, Niemczech, Szwajcaryi i Belgji, literatura pedagogiczna prześcignęła dziś wszystkie inne gałęzie oświaty — u nas zaś nietylko że dzieł pedagogicznych mamy zaledwie *kilkanaście*, ale ich nawet i nie czytamy, a tak summa naszéj umiejętności wychowawczéj stoi jeszcze ciągle — *na zero*. Gorzka to prawda, ale trudno nie powiedzieć jéj sobie w zaufaniu, mianowicie tam, gdzie chodzi o najcenniejszy skarb na ziemi, o dobro dzieci.

P. Gregorowicz mówił o wpływie myśli i uczucia na rozwój cywilizacyi i wychowania. Większa część słuchaczy była może przekonaną, że szan. prelegent streści we wstępie znaczenie *myśli* i *uczucia*, wykaże wzajemny stosunek ich do siebie, i że je potém, w całość organiczną powiązawszy, przedstawi jako dwa równoważne czynniki wychowania: tak przynajmniéj należało wnioskować z tematu prelekcyi. Tymczasem rzecz miała się odwrotnie. Pan Gr. zagaił wprawdzie odczyt swój definicyą *myśli* i *uczucia*, ale z definicyi téj urosła—cała prelekcya. Prelegent przerzucił się na pole historyozofji—przebiegł dawne i nowsze fazy cywilizacyi—wykazywał wszędzie szkodliwą przewagę *uczucia* nad *myślą*, i dopiéro pod koniec téj mozolnéj historyozoficznéj wędrówki, nagiął swój temat do *wychowania*, ażeby wykazać, że dopiéro 18-mu i 19-mu wiekowi należy się zasługa wprowadzenia *myśli* jako *motoru głównego* do wychowania.

P. Gr. mówił przeważnie o drogach, jakie ludzkość przechodzić musiała, ażeby dopiéro po ośmnastu wiekach ery chrześciańskiéj zdobyć się na postęp, zgodny ze wzniosłém przeznaczeniem człowieka. Zdaniem prelegenta ludzkość powodowała się dotąd tylko *uczuciem* i *zmysłami*, a nie wnikała bynajmniéj w zasady bytu racyonalniejszego, dającego nam świadomość *woli* i *wiedzy* o sobie, jako o jednostkach stworzonych do samodzielności. Cała starożytność — któréj wyobrazicielem, miał być zdaniem prelegenta swiat rzymski—była albo sługą systemu z góry podyktowanego, albo niewolnikiem ślepych sił przyrody. Świadomości o sobie nie miała prawie żadnéj: było to życie niemal zwierzęce, upokostowane okolicznościowemi formułkami, reprezentującemi wprawdzie tylko pozornie rozum i wiedzę, ale w gruncie podtrzymującemi despotycznie i czasowo tylko ów rzekomy byt i postęp ludów. Człowiek starożytny, to ciało powodujące się tylko instynktem — ciało bez duszy, bez myśli, bez wiedzy i przeświadczenia—to istna negacya istoty, stworzonéj przecież *na obraz i podobieństwo Boga*. Dopiéro nauka Chrystusa oświetliła tę długą *noc* cywilizacyi, i począł się dzień jasny(?), pogodny (?), a z nim rozpoczęło się także panowanie *myśli* i *miłości* chrześciańskiéj. Człowiek zaczął się wyzwalać powoli z pod jarzma zmysłów, a skosztowawszy raz już owoców nauki chrystusowéj, szedł daléj po téj nowéj drodze postępu. Wprawdzie krwawe i burzliwe wypadki, które zwaliły świat starożytny, przerwały na kilka wieków pochód myśli, wiedzy i miłości, ale nowe czasy weszły powtórnie na dane tory i idą niémi aż do chwili obecnéj, szukając coraz to lepszych i prostszych dróg rozwoju i dobrobytu społecznego. Ponieważ zaś dobrobyt społeczny zależy od zasad *wychowania*, cały więc ogół dzisiejszy zajęty jest przeważnie myślą, jakie dać fundamenta oświacie tegoczesnéj, ażeby już przyszłe pokolenie nasze, stało w należytym stosunku do szybkiego pochodu cywilizacyi. Obecnie bowiem młodzież naszą nie może jeszcze podążyć za pochodem oświaty—ztąd ten chaos straszliwy w przekonaniach i celach, ztąd tyle reform i przewrotów społecznych, tyle walk zaciętych o ideę przyszłości.

Prelegent zwrócił się w następstwie do rodziców, podając im w treściwym zarysie, jak należy podążać racyonalnie za potrzebami czasu; radził przedewszystkiém, skierować dążność całą w wychowaniu dzieci na rozwój *myśli* i *miłości*. Pod „myślą" rozumiał zapewne *praktyczność* życia, boć inaczéj tego dziś nazwać nie można. Praktyczność, czyli jak ją zowią także *realność*, jest alfą i omegą pracy społecznéj, i do niéj też stósować się winniśmy w wychowaniu dzieci. Nie wolno już robić z nich manekinów, powodujących się tylko cudzą myślą i ręką: dziecko ma *wiedzieć*, że żyje dla pewnych celów praktycznych, że więc pracować powinno *świadomie* i *samodzielnie*. Ślepy mechanizm ustąpić powinien nauce, rozwijającéj *myśl* i *przekonanie*. Czasy ślepéj wiary w cudze słowa minęły bezpowrotnie: zadaniem wychowania jest dziś—*samodzielność* i *praktyczność* w przymierzu z *rozsądkiem*, *religią* i *miłością bliźniego*—celem zaś—ideał *człowieka*, jako istoty noszącéj w sobie iskierkę lepszego przeznaczenia na ziemi.

Taką była treść odczytu p. Gr. Co do nas, godzimy się na nią zupełnie; a że powagą i dążnością odpowiedziała godnie i pożytecznie celowi swojemu, nie widzim więc potrzeby szukać w niéj *z urzędu* jakichś, nibyto koniecznych wadliwości.

— Mamy dziś pod ręką drugi i trzeci numer czaspisma *Przyroda* i *Przemysł*. To, czegośmy się spodziewali po drugim i trzecim numerze, znaleźliśmy tam w obfitéj i poważnéj pełni. Począwszy od wstępnego artykułu o *Nauce* i *utylitarności*, w którym redakcya, prostując fałszywe zapatrywanie się mass na cele i drogi nauk przyrodniczych,—wykazuje jasno i przekonywająco, jak pożytecznemi są wszystkie choćby na pozór najoderwańsze i zawiłe teorye nauk przyrodniczych, począwszy od tego artykułu wstępnego, napisa-

nego jędrnym, potoczystym i sympatycznym stylem, a kończąc nawet na Drobiazgach i Rozmaitościach, wszystko tchnie w tém piśmie życiem niekłamaném, werwą i przekonywającym sposobem tłómaczenia owéj, wielkiéj, olbrzymiéj myśli i pomocy, która się skrywała tak długo w łonie przyrody, bez najmniejszego dla ludzkości pożytku. Najsympatyczniejszym objawem tego czasopisma jest bogactwo treści: piérwszy rzut oka pokazuje, że redakcya zna ważność zapasów, nagromadzonych pracowicie i umiejętnie, i tém się téż tłómaczy, dlaczego pismo to znalazło od razu taki szacunek. Jak bowiem nauczyciel, znający z gruntu przedmiot swój, wykłada go jasno, przystępnie i przekonywająco, tak i redakcya *Przyrody* i *Przemysłu*: wywięzuje się właśnie tak samo ze swego zadania, bo zna (jak to widać na każdéj stronicy) jaknajdokładniéj wszystkie zakątki swéj nauki— zna każdą piędź niwy, każdy jéj kamyczek, każdą grudkę. Przy tak sumiennéj znajomości literatury przyrodniczéj, można nie być nigdy w kłopocie wyboru rzeczy najlepszych; po takiém zaopatrzeniu się w materyały, można być nie tylko zajmującym ale i—popularnym. Właśnie, że tą popularnością najwięcéj się odznacza *Przyroda* i *Przemysł;* jest to tygodnik popularny, w całém tego słowa znaczeniu: największą zaś przykrasą téj popularności jest werwa i ciepło, rozlane obficie po wszystkich artykułach tego czasopisma; dość będzie dla czytelnika, nie znającego jeszcze *Przyrody* i *Przemysłu*, przeczytać jedną lub dwie rozprawy tego pisma, ażeby być pociągniętym silnie do treści i poświęcić niejedną wolną chwilę naukom przyrodniczym. Nauka ta czyni przecież zadość pragnieniu wiedzy, wrodzonemu każdemu wyższemu umysłowi, rozszerza zakres pojęć, ćwiczy pamięć, rozwagę i rozum: czyż więc nie należy uznawać i szanować kierunku podnoszącego poziom naszéj umysłowości i prowadzącego do rozpoznania natury, człowieka, i ich wzajemnego stosunku? Poznanie samego siebie i swego stosunku do świata i przyrody, jest jedną z najgłówniejszych a może nawet i jedyną cechą wyższego wykształcenia. To jedno już dowodzi niezbędności i pożytku nauk przyrodniczych, do których nas prowadzić zamierza właśnie *Przyroda* i *Przemysł.*

— W przyszłym numerze pomówim z kolei o *Gazecie przemysłowo-rzemieślniczéj.* Nowy ten organ wchodzi klinem w potrzeby naszego przemysłu—należéć mu się będzie zatém obszerna wzmianka, wykazująca cel i drogi jego.

— Pan A. T, złożył Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj rs. 150, przeznaczając tę summę na nagrodę za najlepszą książkę, napisaną w języku polskim, dla dzieci od lat 10 do 14. Przedmiotem książki ma być: wykład prawd i wiadomości z dziedziny *przyrody* i *ducha* dla podniesienia umysłu i uszlachetnienia serc młodych.

Warunki, jakich żądamy (mówi prospekt), winny w zupełności odpowiadać przymiotom umysłu i serca, jakie w młodzieńcu i człowieku dojrzałym widziéć pragniemy. Książka ta, ma być środkiem pomocniczym w wychowaniu domowém, ma rozwijać umysł dziecięcia, wzbogacać jego wiedzę, kształcić serce, winna zrodzić w dziecku poczucie obowiązku i wolę zaprawić do chętnego jéj wykonywania. Jak poznanie Boga jest piérwszą powinnością człowieka, tak téż i w całém dziele główna uwaga na to zwróconą być winna. Dając wszakże poznać dziecku świat zewnętrzny, autor nie powinien sądzić, że się tu ma na celu wykład systematyczny jakiéjkolwiek nauki— bynajmniéj, podać on tylko winien w wykładzie przystępnym i zajmującym wyniki badań naukowych. Od opisu przyrody, czyli świata fizycznego, przejdzie autor do świata wewnętrznego, czyli do ducha naszego. Tu dwa cele autor założyć sobie powinien: piérwszym, ma być wzbogacenie wiedzy dziecka o świecie ducha, drugim, kształcenie serca dziecięcia. Do piérwszego doprowadzą powiastki z życia narodów, opowiadania o najważniejszych odkryciach i wynalazkach: do drugiego, przykłady cnót, poświęcenia się dla bliźnich z życia ludzi pojedyńczych i dobroczyńców ludzkości. (O złych namiętnościach ludzkich, o czynach niecnych, poniżających godność człowieka, autor winien zamilczeć; samo zamiłowanie cnoty zrodzi już wstręt do występku.) Mówiąc o społeczeństwie, autor przeprowadzi myśl, że podstawą jego jest rodzina; gdzie więc życia rodzinnego nie ma, gdzie węzły wiążące członków rodziny w jedną całość, są potargane lub nie uszanowane, tam społeczeństwo długo ostać się nie może.

Forma, jaką autor ma nadać swoim opowiadaniom, pozostawia się jemu samemu; najwłaściwszym zaś tytułem byłoby: „*Podróż z dziećmi po świecie przyrody i ducha.*” Język ma być czysty, styl łatwy i ujmujący. Dzieci wiedziéć nawet nie powinny, że autor miał na względzie cel pedagogiczny: niech tylko dzieło będzie zajmującém i w treść bogatém, a błogie skutki same przez się nastąpią.

Ostateczny termin do przyjęcia rękopismów (w redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, ulica Mazowiecka Nr. 11, nowy) oznacza się na dzień 1-go Lutego 1873 r.

Taka jest w skróceniu treść tego prospektu. Opuściliśmy tu umyślnie kilka miejsc o etycznéj stronie projektowanego dziełka, bo to, co autor prospektu powiada *np.* o sposobie zapatrywania się na świat zwierzęcy, na jego wartość i moralny stosunek do człowieka, nie dowodzi niczego i tylko mąci pojęcie o wartości przyrody. „Mówiąc o pracowitości mrówki (pisze autor), o skrzętności pszczółki, wierności psa, *niech się strzeże* wystawiać te stworzenia człowiekowi jako wzór do naśladowania; nie potrzebujemy uczyć się cnót od nierozumnych zwierząt lub owadów: mamy czystsze źródło moralności, mamy do naśladowania wzory szczytniejsze, bo święte i bozkie.” To całkiem coś nowego w pedagogii — i tą oryginalnością zabił nam klina: bo cóż tu począć ze światem zwierzęcym, z jego przeznaczeniem w dziełku dla dzieci, z jego utylitarnością, jeśli mówiąc o mrówce trzeba będzie zamilczéć o jéj pracowitości, albo napomykając o pszczole, pominąć rozmyślnie jéj skrzętność, jako nie wyczerpany wzór pracy i systematyczności? Na cóż tedy dopiéro przechadzać się i „podróżować” po przyrodzie, jeśli na każdym kroku mamy sznurować usta sobie i dziecku, i nie dać mu poglądać *trzeźwo* i *wszechstronnie* na stworzenia Boże? Co w tém może być tak szkodliwego, jeśli dziecku krnąbrnemu lub gnuśnemu, pokażę na drodze mrówkę lub pszczołę, wracającą z roboty z bogatym łupem do domu? Jedna taka obserwacya, jeden szczegół, jeden wypadek w życiu przyrody więcej wart dla pedagoga i dziecka, jak całe tomy podręczników, pisanych umyślnie o moralności. Życie, jeśli ma być życiem praktyczném a rozumném, szuka *faktów* a nie abstrakcyi, wyciskanéj *ad hoc* z teoryi życia społecznego, która jak wiadomo zawsze jest stronniczą i poświęconą *interesom* téj lub owéj partyi społecznéj. Pedagogia powinna powodować się *prawdą* życia i nazywać rzecz każdą po imieniu, ażeby nam późniéj nie mącić pojęć i nie stawiać w fałszywym i obłudnym stosunku do Boga, do dzieł Jego—do prawdy i społeczeństwa.

Myśl prospektu, o którym mówimy, jest zacna—cel pożyteczny—chęci jaknajlepsze—ale prospekt ten pisany jest ręką dziwnie lękliwą, niepewną, jakby nie mogącą się zdecydować na wypowiedzenie tego, co czuje. W każdym razie pisał to pedagog, nie dość obeznany z pracami i zasadami tegoczesnéj pedagogii, która na wyłączną rzecz tego, co święte i bozkie, nie radzi przemilczać o wzorach etycznych płynących z rzetelnéj nauki o świecie i przyrodzie. Zresztą i sam tytuł projektowanego dziełka: „*Podróż po świecie przyrody i ducha*” jest nie pedagogiczny, bo skupia w jedno dziełko dwie tak obszerne dziedziny życia, że ich, przy najlepszéj woli i wprawie, nie będzie można przedstawić i rozwinąć należycie. Możnaby wprawdzie jednakże wywiązać się z tego zadania, gdyby w projektowanym tytule nie było wyrazu „*Podróż*”, który z góry zagradza drogę do *metodycznego* opracowania dziełka: tylko jeszcze metodyczność (nb. bardzo umiejętna i praktyczna zarazem) mogłaby dać radę tym dwóm dziedzinom życia. W inne sposoby, leżące poza obrębem metodyczności nie wierzymy. Będzie dziełko, ale prawdy i treści życia, będzie w niém tylko połowa. Dzieł ubranych w luźne i ckliwe Gawędy, Podroże, Wycieczki, Niespodzianki, Wiązanki i t. d., mamy już dosyć, i będziemy ich (jak widzę) mieli jeszcze bardzo wiele; ale książek i przewodników, dających obok pokarmu także i sposobność *systematycznego* i *logicznego* rozwijania władz umysłowych, nie ma dotąd prawie żadnych. Inne narody stoją systematycznością, wpajaną od kołyski w społeczeństwo: u nas przeciwnie zaczyna się wychowanie od jakichś *środeczków*, pseudo-pedagogicznych, wzniecających potém tylko wstręt do systematycznéj i poważnéj pracy.

☞ Patrz Dodatek.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.